

Krzepkowski, Mieczysław

W "Dzień dobry" (1934-1938)

Rocznik Historii Czasopiśmiennictwa Polskiego 9/3, 443-457

1970

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

MIECZYŚLAW KRZEPKOWSKI

W „DZIEŃ DOBRY” (1934—1938)

„Dom Prasy” SA, a właściwie pisma, które wydawał, powstawały w różnym czasie. Najstarszym był „Kurier”, a wnet powstał i „Express Poranny”, utworzony w 1922 r. przez spółkę, do której wchodził Henryk Butkiewicz, Antoni Lewandowski i Plewiński. W 1931 r. po powodzeniu „Ostatnich Wiadomości” wypuścili „Dzień dobry”, a chyba nieco wcześniej „Dobry wieczór”. Dwa pisma popołudniowe „Kurier” i „Dobry wieczór” nie mogły się utrzymać i wydawcy połączyli je.

Do 1929 r. wszystko szło dobrze, ale w r. 1930 zaczął się kryzys gospodarczy. Przed kryzysem wydawcy, którym się poszczęściło, wpakowali się w poważne inwestycje. Wybudowali specjalny gmach przy ul. Marszałkowskiej 3/5 na pomieszczenie redakcji i drukarni, sprowadzili nowoczesne maszyny rotacyjne do druku wypukłego i wklęsłego (rotograwiury), kilkanaście linotypów, w tym jeden do tytułów obok Ludłowa (skład ręczny z matryc i odlew tytułu).

Gmach był piękny, bardzo nowoczesny. Na I piętrze połowę długości gmachu zajmowały oszklone boksy dla redakcji, w korytarzu przy wejściu dalekopis, kabiny telefoniczne. Drugą połowę zajmowała zecernia ręczna i linotypy. Na II piętrze były gabinety dla H. Butkiewicza, Lewandowskiego i dla administracji — już nie oszklone. To wszystko kosztowało ciężkie miliony, to też kiedy zaczął się kryzys, kiedy wpływy z ogłoszeń spadały na łeb na szyję, nakłady się kurczyły, a wierzyciele domagali się pieniędzy, nastąpiła groźba plajty. Uratował wydawnictwo Bank Gospodarstwa Krajowego. Tylko niewiele akcji otrzymali Butkiewicz i Lewandowski. Plewiński już wcześniej opuścił spółkę i założył oddzielną popołudniówkę — „Trybunę” niebieską czy błękitną, która przetrwała tylko kilka miesięcy. Nie udało jej się utrzymać, chociaż — o ile pamiętam — nie była robiona źle. Ale „Express Poranny” i „Kurier Czerwony” miały już wyrobioną markę. Akcjami zarządzał, czy je dostał, Bogusław Miedziński, uznany za dyktatora prasy sensacyjnej i — bliski mu człowiek, Popławski. Trochę akcji otrzymał Lewandowski, Butkie-

wicz, a bodaj także i Briesemeister i jeszcze jakiś dyrektor. Butkiewicz, mający tendencję do życia na pokaz (polowania, piękne mieszkanie, przyjeżdżania), dość szybko odsprzedał swe akcje, jak mówiono, Lewandowskiemu.

Dyktatura Miedzińskiego nie dokuczała zbytnio wydawnictwu, które mogło nadal występować pod szyldem pism pozapartyjnych, informacyjnych. Oczywiście, odbywały się od czasu do czasu konferencje Butkiewicza, ewentualnie zastępcy Butkiewicza Waclawa Syruczka z Miedzińskim. Redaktorzy dzienników odbywali następnie konferencje z Butkiewiczem. Działo się to jednak dość rzadko i redaktorzy mieli duży zakres samodzielności. Wychodziły tylko tego rodzaju zalecenia, jak popieranie Ozonu, nieatakowanie Franco w wojnie z wojskiem rządowym w Hiszpanii, pozostawienie w spokoju księży i Żydów. Popieranie Ozonu dotyczyło raczej „Expressu”, w znacznie mniejszym stopniu „Dzień dobry”, gdzie staraliśmy się pomijać go milczeniem. Również w sprawie Hiszpanii staraliśmy się o obiektywizm, neutralność, unikając jakiegokolwiek chwaleńca gen. Franco. Naturalnie w polityce zagranicznej trzymaliśmy się linii wytyczonej przez rząd z drobnymi odchyleniami.

W 1934 r., kiedy Lewandowski i Butkiewicz zaprosili mnie na rozmowę, sytuacja „Domu Prasy” wyglądała następująco: najlepiej szedł „Express Poranny”; „Kurier Czerwony” redagował Stanisław Paciorkowski, brat wiceministra. Stanisław wyklócał się w tym czasie z Butkiewiczem. Ponadto pił wiele i trochę lekceważył pracę. Zdaje się, że „Kurier” trzymał się na granicy pokrywania wydatków. Najgorzej szedł „Dzień dobry”. Kiedy go obejmowałem, bił kilkanaście tysięcy egzemplarzy. „Express” i „Kurier” miały duży format, „Dzień dobry” miał kształt tabloidu. Dom Prasy wydawał ponadto „Przegląd Sportowy” (z dobrą obsadą fachowców pod kierownictwem Strzeleckiego) i „Kino”, które robił Teofil Syga z Marią Przeworską.

Drukarnia miała ponadto roboty „z miasta”, przeważnie czasopisma sanacyjne.

Zdaje się, że dyrektor Lewandowski i Butkiewicz poprosili mnie do siebie dla skaperowania z pisma, które uważali za konkurenta dla „Dzień dobry”. Z tego względu, że planowałem wyjść z „Ostatnich Wiadomości”, nietrudno było dojść do porozumienia; warunki: tysiąc złotych miesięcznie, wierszówka za to, co napiszę, czyli tak samo, jak w „Prasie Popularnej”.

Kiedy zjawiłem się w redakcji, wyczułem od razu niechętną atmosferę. Robił ją Andrzejewski, który miał ochotę zostać redaktorem naczelnym na miejsce Bolesława Hensla, dotychczasowego redaktora, który objął „Express”. W tym czasie mniej więcej Paciorkowski rozstał się z „Kurierem”, a na jego miejscu zasiadł Kapuściński, ożeniony z zamężną córką fabrykanta bekonów. Andrzejewski zaczął buntować redak-

cję. W jej skład wchodzili Dunin-Borkowski, znakomity alpinista, autor nowel; Harald Ordjoels — publicysta, Zofia Drabikowa — kolumna kobieca i Oświata, Edward Szymański — poeta, redaktor techniczny, Wacław Borowy — redaktor nocny.

Ponadto wszystkie trzy pisma miały wspólną obsługę sportową, miejską i sądową; dwie pierwsze robiły ekipy specjalne (miejską m.in. Modest Dobrzyński i Leopold Marschak), sądy — adw. Drobniwski. Te trzy działy często nie dostosowywały materiału do charakteru pisma. Odmienne traktowanie materiałów dla „Dzień Dobry” dopiero ja wprowadziłem.

Andrzejewski zdecydował się, by namówić kolegów do sabotowania moich zarządzeń. Było to na kilka dni przed rozpoczęciem przeze mnie pracy. Powiedzieli mi o tym moi nowi koledzy, którym takie metody nie odpowiadały. Wobec tego zwróciłem się do Lewandowskiego z żądaniem zabrania Andrzejewskiego z „Dzień dobry”. Wziął go Hensel i dalej robota się potoczyła gładko. Na miejsce Andrzejewskiego wziąłem Wacława Czarneckiego, który w tym czasie opuścił „Robotnika”.

Nastawiłem od razu pismo na rzemieślników. Była ich w Warszawie gromada duża, uderzona przez kryzys, ale można było liczyć na kilkadziesiąt tysięcy kupujących gazetę. Przez dobór materiału udało się podnieść stopniowo nakład do 80 tysięcy egz., z czego stosunkowo nie było wiele zwrotów. Nakład ten obliczam, oczywiście, łącznie z ośmioma mutacjami, o które zgłosiło się kilka miast, jak Wilno, Lublin, Łuck.

Nie wszystko szło zgodnie z moimi myślami. Niezadowolony byłem przez dłuższy czas z metod pracy Wacława Borowego. Był to miły gawędziarz, może nieco starszy ode mnie. Pracował sam w nocy, tylko telefonowałem do niego; podstawowe wydanie robiliśmy w dzień, obok tych mutacji, które robiło się z materiałów przysyłanych listami dworcowymi i telefonicznie (tej drugiej drogi unikało się ze względu na koszt). Ostatnie, warszawskie wydanie mutowało się, przeznaczając na zmiany pierwszą i ostatnią kolumnę i jak najmniej kolumn środkowych. Wacław Borowy przychodził do pracy koło 9 czy 10 wieczorem i spędzał najpierw dwie, trzy godziny na odwiedzinach kolegów w innych boksach, na przechadzkach z niektórymi kolegami po korytarzu. Tam zwykle przechadzał się też w dzień lub wieczorem Lewandowski, żeby bacznie obserwować przez szyby, co dzieje się w poszczególnych boksach; niekiedy wypuszczał się na zecernię. Od czasu do czasu towarzyszył mu w tych przechadzkach Butkiewicz, Syruczek czy któryś z redaktorów naczelnych albo starszych lub zaufanych dziennikarzy. Wacław Borowy w ostatnich dwóch godzinach pracy musiał się spieszyć, by na 2—3 rano zamknąć numer. Ta robota nieco na łapu-capu siłą rzeczy nie szanowała właściwego układu, jaki przestrzegałem w wydaniu podstawowym i mutacjach. Aż do mojego opuszczenia „Domu Prasy” nie udało mi się wiele zmienić

Wacka, który najczęściej moje uwagi puszczał mimo uszu. Nie miałem jednak zamiaru zwalniać go. Rzadko dochodziło między nami do ostrzejszych starć. Kiedy wpadałem do redakcji, niekiedy koło północy, wówczas ja organizowałem robotę i układ. Ale tego nie chciałem robić zbyt często, a gdzieś koło 10 rano trzeba było być w redakcji.

Wiele kłopotów sprawiał mi Harald Ordjoels. Piękne to nazwisko było, zdaje się, wykombinowane. Ponoć, jak mówili niektórzy koledzy, Ordjoels nazywał się Piętaś, pochodził z Małopolski, nie ze Szwecji ani z Norwegii. Jakimi drogami doszedł do skandynawskiego nazwiska, nie wiem. Miał bladoniebieskie oczy, blondyn, o regularnych rysach twarzy, przystojny, zgrabny, choć niski. Nie wiem, jakie studia skończył, ale był bardzo czytany. Przez parę miesięcy pracował dobrze. Zręcznie pisywał krótkie wstępne artykuły na drugą kolumnę, przy czym temat wysuwałem ja lub on proponował. Pisywał poza tym na tematy społeczne, albo nawet i ekonomiczne, dotyczące rzemiosła. Były to na ogół rzeczy dość powierzchowne, ale o tyle będące nowością, że poruszały zagadnienia rzemieślnicze w sposób popularny, łatwo zrozumiały dla ludzi niewykształconych.

Harald zaczął mi wreszcie od czasu do czasu znikać na parę dni. Pijaństwo! Odbywałem z nim rozmowy, ale to niewiele pomagało. Wiedziałem, że Harald pije, ale nie przypuszczałem, że jednocześnie używa jakichś narkotyków.

Jeszcze w pierwszych miesiącach mojej pracy główny księgowy Kruk, sztywny, ceremonialny w sposobie bycia i wystawiania, z rachunkiem jakimś podchodzi na korytarzu do Antosia Lewandowskiego:

— Panie dyrektorze, mamy rachunek za małpę ...

Lewandowski, żywego upsosobienia, chociaż niewielki i krągły, zachnął się:

— Co za małpa?

— Z ogrodu zoologicznego nadesłano rachunek ...

— Z jakiego ogrodu? Co za małpa? — wykrzykuje podniecony Lewandowski.

— Pan redaktor Ordjoels zechciał nabyć małpę ...

— Po co? Jak to?

— Nie wiem, panie dyrektorze, ale pan redaktor Ordjoels zechciał nabyć małpę, a rachunek przesłano do „Domu Prasy”!

Wreszcie Lewandowski pojął, że Harald nabył rezusa dla jakiejś ukochanej. Ostatecznie kazał zapłacić rachunek (80 zł) i potrącić z pensji.

Moim zastępcą w „Dzień dobry” był chyba najdłużej Wacek Czarnecki, PPS-owiec, przyjaciel Adama Obarskiego, a ten był bratem redaktora naczelnego PAT i bratem żony Miedzińskiego.

Adam Obarski — dzięki protekcji Miedzińskiego — też pracował

w „Domu Prasy”, w „Expressie Porannym”. Tak jak Wacek był PPS-owcem.

Wacek był niewielkiego wzrostu, inteligentny, ale niezbyt pracowity. Jak i Adam Obarski raczej „udawał pracę”, chętnie posługując się kimś innym. Zresztą, jeśli się wziął do pisania, to robił to wcale dobrze. Lubiłem go i mimo wszystko popierałem, chociaż jego wartość jako pracownika redakcji nie wielka była. Będąc małego wzrostu, Wacek przydawał sobie powagi tonem i treścią przemówień. Doskonale znał się na kobiecych drobiazgach, perfumach, pudrach, kredkach do ust itd. Chyba tą znajomością umiał się przypodobać kobietom, chociaż nie miał atrakcyjnej powierzchowności.

Pracowała jeszcze ze mną w redakcji „Siuńcia” — Zofia Drabikowa, miła, cicha kobieta, żona znawcy sztuki (pracował w tym okresie w Teatrze Wielkim), również bardzo miłego pana. Prowadziła dział społeczny w „Dzień dobry”, odpowiedzi redakcji, kolumnę kobiecą raz na tydzień, którą staraliśmy się dopasować do kategorii odbiorców. „Siuńcia” zawsze cichutko siedziała przy swoim biurku, rzadko zabierała głos.

Przewinęło się przez redakcję jeszcze wiele innych osób. Do robienia kolumny „Zabawmy się”, którą wprowadziłem do niedzielnego numeru, zatrudniłem kolegę Teichmana, którego nazwisko może przeinaczam. Była to kolumna mająca uczyć ludzi, jak spędzać wolny czas, a więc wskazówki, gry — zależnie od pory roku — w lokalu lub na świeżym powietrzu, rozrywki umysłowe, wśród których pojawiły się już krzyżówki, modne i poszukiwane do dziś.

Godnym uwagi był Edward Szymański, poeta. Nie obchodziło go nic dziennikarstwo. Prosił raczej o jakąś robotę mechaniczną, przy której mógłby mieć dość czasu na myślenie. Został redaktorem technicznym. Pod koniec numeru ja, Czarnecki lub Borkowski przychodziliśmy do zecerni na pół godziny dla złamania pierwszej kolumny. Szymański nie miał istotnie wiele roboty. Pisał dobrze wiersze, wysoko cenione ... po wojnie, już w wiele lat po jego śmierci.

Zaczął wówczas karierę Stefan Wiechecki. Pisywał „szmoncesowe” felietoniki Walerego Wątróbki w „Dzień dobry” i coś w rodzaju „W 4 oczy” jako Gawęda. Najgłośniejszą naśladowczynią w prowadzeniu tego rodzaju rubryk była Pani Zofia w „Kurierze Czerwonym”. Według mnie, nie była to rubryka prowadzona najlepiej, ale była nowością, pozwalała ludziom na użalanie się. W „Dzień dobry” Wiech traktował raczej tę rubrykę na wesoło. Ale i to miało powodzenie. Wnet felietony Wiecha zaczęły się pojawiać w „Kurierze Czerwonym” i sława jego rosła z dnia na dzień. Wprowadził własny styl, żargon warszawski — „język wiechowski”, który po wojnie stał się nawet przedmiotem naukowych studiów. Akurat był czas na nowego felietonistę. Kończył się Czwiercza-

kiewicz i jego „kratki sądowe”, w których rozczytywała się Warszawa. Owe felietony sądowe tak przypadły do gustu czytelnikom, że zainicjowali składkę, za którą zakupiono autorowi willę pod Warszawą! Takie to były czasy! Cwierzakiewiczza poznałem już jako starszego, całkowicie łysego pana, w okularach o bardzo grubych szklach. Był miły i rzadko już pisywał, pobierając jednak pensję z wydawnictwa, co było traktowane jako uznanie jego zasług. Zmarł chyba w początku wojny.

Wiech pobił jego popularność. *Porad Gawędy* nie porzucił aż do końca mego redaktorstwa w „Dzień dobry”. Po wojnie ściągnąłem go najpierw do „Życia Warszawy”, a następnie do „Expressu”. Zrazu Stefan opierał się trochę zajęty... sklepem. Okres powojenny dostarczył mu tyle nowych tematów, że popularność jego rozrosła się jeszcze bardziej niż przed wojną. To rzadki talent felietonistyczny! Zazwyczaj felietonista „kończy” się po kilku latach, Stefan ciągnie lat 30! Ma wiele pomysłowości, chociaż obraca się ciągle w tej samej sferze „warszawiaków z Targówka”!

Duży talent wykazywał Napoleon Sadek, ale był skazany na mniej wrażliwe grono czytelników „Ostatnich Wiadomości”; Wiecha czytywała przede wszystkim „mała” i „średnia” inteligencja, bo zrazu „warszawiacy z Targówka” wyłuskiwali sytuacyjne dowcipy, o których Stefan pisał ich językiem potocznym. Ta inteligencja — wbrew „wyższej” inteligencji, oburzającej się na „psucie języka” przez Stefana — rozślawiała Wiecha, przysparzając mu coraz szersze koła czytelników, z biegiem lat kształcących się, nabierających smaku do lektury. Po wojnie sława Wiecha sięgnęła wsi.

Zawarłem w „Domu Prasy” szereg interesujących znajomości. Warto też parę słów poświęcić dwóm głównym postaciom tego „Domu”: Henrykowi Butkiewiczowi i Antoniemu Lewandowskiemu.

Henryk Butkiewicz był bratem długoletniego i cenionego kierownika Ministerstwa Komunikacji, zdolnym dziennikarzem, pełnym inicjatywy. Dość szybko wypłynął po pierwszej wojnie światowej i stał się znany w świecie dziennikarskim już w 1922 r., kiedy założył „Kurier” i „Express Poranny”. To on chyba zainicjował konkursy piękności w Polsce i dzięki temu spopularyzował pismo.

Był to dobrze zbudowany, średniego wzrostu mężczyzna, przystojny, o inteligentnej twarzy. Przed wojną nosił monokl, nie wiem, czy ze snobizmu czy z potrzeby. Monokl dodawał jego twarzy arystokratycznego wyrazu. Mówił, lekko zaciskając wargi, a zwrot „panie kolego” brzmiał w jego ustach „penie kolego”, co oczywiście brać dziennikarska podchwyciła i utrzymywała długi czas jako jego przezwisko. W zachowaniu był kulturalny, grzeczny, rzadko kiedy się irytował. Umiał zawsze za-

chować „angielski spokój”. Pan Henryk snobował się, lubił ładne mieszkanie, wykwiń, służbę, polowania, na które jeździł z dygnitarzami.

Opowiadali mi koledzy, że pod koniec lat dwudziestych, kiedy był już znanym redaktorem naczelnym, wmówiono panu Henrykowi, że „wypada”, aby miał oficjalną kochankę. Nie wiem, jaką drogą, wybór padł na głośną gwiazdę operetki Niewiarowską. Z nią pokazywał się od czasu do czasu pan Henryk w samochodzie, by zadość uczynić wymaganiom mody! Niewiarowska zginęła śmiercią tragiczną w Wilnie, piorąc w benzynie rękawiczki: spaliła się! Ponoć pan Henryk przyjął wiadomość o śmierci z westchnieniem ulgi!

Istotnie, zdawał się tkwić w dziennikarstwie powyżej uszu. Dał tego szczególnie wyraziste dowody po wojnie, podsuwając „Czytelnikowi” szereg doskonałych wydawniczo pomysłów. Ale o tym później. Ponadto p. Henryk miał przystojną żonę. Nie wiem, jak układały się jego sprawy rodzinne, ale wydaje się, że bez większych wstrząsów. Miał dwóch synów, dla których żywił z pewnością uczucia ojcowskie. Z uczuciami zresztą nie zdradzał się nigdy, zachowując zawsze „angielską flegmę”. Umiał mówić dość interesująco. Zresztą — zawsze mówiliśmy na tematy dziennikarskie albo co najwyżej — jezior Augustowskich. Wszystkich kolegów w redakcjach namawiał na spędzanie urlopów nad tymi jeziorami. I mnie namawiał tak długo, aż pojechałem do Yacht-Klubu Oficerskiego nad jeziorem Krechowickim. Spędziłem tam rzeczywiście prze-mile urlop, dużo pływając wspaniałym „starem” po jeziorach.

Pan Henryk miał zastępcę kol. Syruczka, niezwykle inteligentnego człowieka, wyszukanej kultury i zbliżonego cechami charakteru do p. Henryka; opanowany, cedzący słówka, wytworny w obejściu. Określałem go jako wybitny okaz „mózgowca”; kierował się zawsze rozumem, nigdy uczuciem. Rzecz ciekawa, jego żona, Stasia, była okazem pełnokrwistej Słowianki: piękna blondyna, wesola, zgrabna, pełna kobiecości. Zawsze zdawało mi się, że ten szczupły „mózgowiec” mrozi tę pełną temperamentu, młodą kobietę! Niektórzy sądzili, że Syruczek podsuwa wiele posunięć p. Henrykowi. Nie wiem, czy tak istotnie było. Być może górował subtelnością, inteligencją nad Butkiewiczem, ale chyba nie zdolnościami dziennikarskimi. Butkiewicz cenił Syruczka i mianował go swoim zastępcą.

Antoni Lewandowski był typem odmiennym. Niski, krągły, wygolony, sprawiał wrażenie człowieka, który doszedł do wysokiego szczebla dyrektora naczelnego dużego koncernu prasowego z środowiska ludzi prostych. Nie wiem, jakie miał wykształcenie, ale z pewnością był inteligentny, w lot orientujący się w interesach. Był nie tylko dyrektorem koncernu, ale jedną z głównych figur w Związku Wydawców. Zarzucało mu się przed wojną bezwzględność, sam z nim miałem scysję, która

skończyła się moim odejściem. Ale w czasie okupacji i zaraz po niej Lewandowski okazał się człowiekiem szlachetnym, głęboko zainteresowanym losem współpracowników, którym, jak mógł, dopomagał. Musiała w nim tkwić ta szlachetność zawsze, nie pojawiła się przecież ni stąd ni zowąd. A przecież przed wojną nie jeden z kolegów miał z nim konflikt, nie jeden rozszedł się z nim. „Antoś”, jak się go zwało wśród kolegów, był człowiekiem wybuchowym, ale też łatwo się uspokajał. Szedł uparcie do wytkniętego sobie celu. Mówiono o nim, że otrzymawszy kilka procent akcji „Domu Prasy” wnet tę paczkę powiększył, odkupując akcje, które otrzymał p. Henryk. Pan Henryk potrzebował pieniędzy na wystawne życie, pan Antoni żył dostatnio, ale był wolny od snobizmu i nie wykazywał potrzeb „błyszczczenia”. Żonę swoją, miłą p. Lewandowską, zrobił redaktorem mutacji „Expressu” w Białymstoku, miał też córeczkę, która po wojnie została stewardessą.

Pan Antoni miał zwyczaj przechadzania się po korytarzu, zerkając w dwurząd oszklonych boksów, jakby sprawdzając, czy wszystko odbywa się porządnie i na czas. W dyscyplinie utrzymywał wszystkie redakcje. Każda mutacja musiała być zamknięta w ściśle określonym czasie. Spóźniony numer przestaje być gazetą, jest kupą zadrukowanej maktulatury. Luzów w czasie było tyle, o ile udało się przyspieszyć robotę o kilka czy kilkanaście minut. „Kurier” musiał być na mieście o godz. 11. W tym samym czasie ukazywał się „Wieczór Warszawski” i „Goniec Warszawski”, rywalizujące z „Kurierem”. „Kurier Warszawski” popołudniowy ukazywał się nieco później, a najpóźniej „Czas — 7-ma wieczór”, który rzeczywiście — ukazywał się w lecie koło 6, a w zimie bodaj koło 4 czy 5.

Próba wydawania pisma rozprzedawanego o późniejszej porze spaliła na panewce. Mimo że Warszawa chodziła później spać niż dzisiejsza (koło 10 miasto jest prawie całkowicie wymiecione z ludzi), ówczesnych jednak randkowiczów i odwiedzających nocne lokale mało interesowały wieści ze świata czy nawet lokalne! Pamiętam próbę wydawania pisma sprzedawanego o 10 wieczorem (tytułu nie przypominam sobie). Wychodziło tylko parę dni!

Pracę w „Kurierze” zaczynało się o 5 rano. Od 9—10 godz. zaczynały się mutacje „Expressu Porannego” i „Dzień dobry” aż do wieczora.

Wszystko miało dokładnie wytyczony bieg. Wspólne działy dostarczały materiałów. Część odbierał Kalasiewicz, stenograf, czy Stasia Syruczkowa, świetna stenotypistka, której piękną buzię kaziły słuchawki na uszach z tubą przed ustami. Przepisywało się te materiały, a odbitki szły do poszczególnych redakcji i te przerabiały każdy maszynopis na własną rękę. Artykuły, wywiady i reportaże podpisane nazwiskiem najwyższej się skracało, ale przeróbki wymagały uzgodnienia z autorem.

O każdym potknięciu p. Antoni zawsze wiedział. Miał swoich zaufanych, którzy mu tych wiadomości dostarczali, lubił też ploteczki, ale nie słyszałem o tym, by je w sposób niestosowny wyzyskiwał. Jednym z jego zaufanych był Wicus Harasymowicz. Był to b. policjant, który przynosił wiadomości z dużym wyczuciem dziennikarskim. Nie wiem, czy to nie p. Antoni namówił go do zawodu dziennikarskiego. Harasymowicz pisał znośnie, dużo było w tym temperamentu.

Wicus otrzymał przezwisko „Rób coś” lubił właśnie „rozrabiać” plotkować, kręcić. Cieszył się sympatią p. Antoniego. Nie wiem, czy dlatego, że był człowiekiem wydobytym „z nizin”, czy dla miłości ploteczek... Tęgi, barczysty, o nalanej twarzy, Wicus lubił zjeść i wypić. P. Antoni nigdy nie „zalewał się”. Jeśli gdzieś wypił nieco więcej twarz mu czerwieniała, oczy zasnuwała lekka mgielka, ale poza tym nie było innych oznak. W 1935 r., kiedy umarł Piłsudski, wielkie było poruszenie w „Domu Prasy”. Butkiewicz, Lewandowski, Syruczek i my trzej, redaktorzy dzienników, siadywaliśmy długimi godzinami w dzień i w nocy w redakcji. Tytuły, do których zawsze przywiązywało się dużą uwagę, nabierały szczególnej wymowy w te dni pełne żałoby i napięcia. Ja byłem jednym z głównych — obok Hensla — autorem tytułów, przy czym robiłem je, mając często z jednej strony Butkiewicza, z drugiej — Lewandowskiego.

P. Antoni nigdy nie wtrącał się bezpośrednio do żadnej redakcji. Zawsze to robił przez Butkiewicza. Kiedy wykazywałem zainteresowanie rozchodzeniem się pisma, odwiedzając często dyrektora Mikulskiego, by poinformować się, gdzie są spadki nakładu, Lewandowski zaczął spoglądać na mnie z zainteresowaniem. Zaraz bowiem organizowałem reportaż z miejscowości zagrożonych spadkiem nakładu, urządziłem i zapowiadałem w gazecie odwiedziny przedstawiciela redakcji, który w oznaczonej godzinie, w oznaczonym lokalu będzie przyjmował czytelników, by pomówić z nimi o wszelkich interesujących ich sprawach.

Dane o rozchodzeniu się pisma dostarczane były redakcjom czy wydawnictwom w ciągu bodaj dwóch dni. W ciągu tego czasu redakcja dowiadywała się nawet o stanie sprzedaży w poszczególnych dzielnicach Warszawy. A nie było wówczas elektrycznych maszyn do liczenia!

Redakcje na ogół niechętnie współpracowały z administracjami pisma. Tkwiał w wielu wydawnictwach szkodliwy dualizm, zadzieranie nosa przez dziennikarzy i zawiść administracji wobec części wydawnictwa, składającej się z ludzi lepiej zarabiających, chwalonych, wynoszonych. Unikałem zawsze okazywania tej niemądrej wyższości. Zawsze miałem czas, by pomówić z dyr. drukarni Lehmanem, dyr. Briesemajstrem, głównym księgowym Krukiem, dyr. Riedlem. Dyr. Briesemajster — nie pamiętam, czy to był dyrektor finansowy — mały, pulchnutki pan — nie

miał ze mną wiele styczności. Dyr. Riedel zajmował się chyba zaopatrzeniem. Po wybuchu wojny zgłosił się na Reichsdeutscha i tkwił przez cały czas okupacji w tym samym gmachu, gdzie dyrektorem naczelnym został rzekomy majster z fabryki maszyn drukarskich przybyły do „Domu Prasy” jako konserwator, który był po prostu szpiegiem — oficerem wywiadu. Nazywał się Hergel. Miał on pod bokiem drugiego szpiega, portiera Pohla o lisim pyszczku. Dyr. Riedel po wojnie został ... oficerem w Gdańsku i był nim, póki ktoś go nie poznał. Trafił wtedy do więzienia. Pomogła mu swoimi zeznaniami Karolina Beylin. Riedel nie robił zresztą świństw, jego oświadczenie, że Karola nie jest Żydówką, uratowało jej życie po raz pierwszy (po raz drugi uratowała się sama, dzięki ucieczce z Pawiaka). Zdaje się, że p. Riedel wyrok odsiedział i nie wiem, czy wyjechał do NRF, czy też pozostał w Polsce.

W „Domu Prasy” poznałem wielu dziennikarzy. Jedni odchodzili, przychodzili nowi. Najwcześniej odszedł Stanisław Paciorkowski, redaktor „Kuriera”. Ożeniony był z inteligentną panną, Włochówną z domu. Obydwoje uczynni. Rzadko spotykałem się z nimi, a ostatni raz w tragicznych warunkach w Pińsku. Na miejsce Paciorkowskiego przyszedł Stanisław Kapuściński. Był to przystojny i postawny człowiek, zarzucały i ostry w postępowaniu ze współpracownikami. Znaliśmy się, oczywiście, dobrze, ale nie było między nami zażyłych stosunków, Żywsze nieco i bliższe stosunki łączyły mnie z Bolesławem Henslem, redaktorem „Expressu”, po którym objąłem „Dzień dobry”. Było to wielkie barczyste chłopisko, o tubalnym głosie, cieszące się na ogół sympatią wielu kolegów. Rządził w redakcji twardą ręką, co pochwalał Lewandowski, wróg nieładu i rozprężenia. Hensel czasem się unosił, walił potężną pięścią w biurko, ale przechodziło mu to dość szybko. Ożeniony był z dentystką, niezwykle miłą panią, chociaż niezbyt urodziwą. Pamiętam wyraziście wielką postać Bolka, jak stąpał obok małego p. Antoniego, pochylając się ku niemu w poufnych pogwarkach.

Z Kapuścińskim i Henslem przeżyliśmy charakterystyczne dla owych czasów wydarzenie. Było to chyba w 1937 r., kiedy Ozon już rozwinął swą działalność, a faszyzm coraz szerzej wkraczał w nasze życie. Dziennikarze nie byli pochopni, by poddać się „totalitarnemu głajszaltunkowi”. Na apel Ozonu zgłosiło się zaledwie do współpracy trzech dziennikarzy z Syndykatu warszawskiego, m.in. dwaj bracia, synowie szanownego sprawozdawcy parlamentarnego. Przewodził im Mieczysław Birnbaum. Niewiele chyba robiła w Ozonie ta nieliczna gromadka, a o tym, by mogła być jakimś środkiem dyspozycyjnym, mowy nie było! Zresztą, przy wódce sam Micio nieco natrząsał się z powierzonych mu funkcji.

Nie brak było urągań w całej prasie na cenzurę, dochodziło do awantur, jak w r. 1938 w Wilnie. W endenckim piśmie, które dość perfidnie

spotwarzyło pamięć zmarłego Piłsudskiego, grono oficerów, b. legionistów, postąpiło jak totalistyczna bojówka, wybijając oko redaktorowi naczelnemu Zwierzyńskiemu. Umyślił sobie wówczas minister Sprawiedliwości Grabowski nastraszyć prasę. Trzeba było kogoś aresztować, wsadzić do więzienia i tą drogą pohamować „zbytnią wolność”. Trudno było ruszyć kogoś z „Gazety Polskiej” — nie wypadało. Jeśli się wsadzi kogoś z prasy socjalistycznej czy endenckiej podniosą krzyk na całą Europę o prześladowaniu prasy w Polsce. Grabowski postanowił „zamieszać” w „Domu Prasy”. Pretekst znalazł łatwo: nieposzanowanie tajemnicy śledztwa. Właśnie dokonano jakiegoś morderstwa na Poczcie Głównej. Nasi reporterzy przynosili sporo wiadomości, najczęściej uzyskanych od oficerów czy podoficerów policji.

Pewnego dnia w r. 1938 zjawił się w gmachu jakiś komisarz Urzędu Śledczego, nie pamiętam jego nazwiska, i chciał mnie oraz Hensla zabrać do aresztu, okazując papierek podpisany przez p.o. prokuratora z Ministerstwa Sprawiedliwości. Oparliśmy się temu, musiał więc komisarz sprowadzić policjantów i pod ich opieką wpakowano nas do samochodu. Pojechaliśmy do Kapuścińskiego na Saską Kępe, a następnie na Daniłowiczowską, gdzie był areszt i Urząd Śledczy. Umieszczono nas w oddzielnych celach. Było to chyba około pierwszej po południu, ale już o trzeciej wypuścili nas z cel. Pod urzędem czekał samochód redakcyjny, który nas zawiózł do restauracji Langnera na popijawę z p. Antonim Lewandowskim, który „stawiał”, rad ze zwycięstwa.

Jak tylko nas aresztowali, zrobił się szum w całej dziennikarskiej Warszawie. Poruszony został sam premier Sławoj-Składkowski. Zdaje się, że bez wielkiego trudu przekonano go o błędach w postępowaniu Grabowskiego i przestępstwo, jeśli było nawet popełnione, nie pociągnęło za sobą środków zapobiegawczych w postaci aresztu, poza tym była to jakaś ingerencja w sprawy prasy bądź co bądź sanacyjnej, chociaż nie oficjalna. Składkowski podobno nagadał Grabowskiemu, a interweniującym, nie wiem, czy nie Miedzińskiemu, polecił, aby uzgodnić z nami formę zadośćuczynienia, które z góry przyjął. W restauracji uzgodniliśmy, że w serwisie PAT pojawi się komunikat stwierdzający, iż aresztowanie nas było aktem bezprawia urzędnika min. Grabowskiego, że minister osobiście przeprosi nas za to bezprawie na specjalnym przyjęciu w Ministerstwie. Już bodaj następnego dnia minister przyjął nas w swoim gabinecie. Ze źle ukrywaną wściekłością wygłosił z góry ustaloną (ze Składkowskim) formułę przeproszenia, której wysłuchaliśmy z kamiennymi twarzami.

Na tym się incydent nie wyczerpał. Wkrótce otrzymaliśmy wezwanie do sądu jako oskarżeni o obrazę ministra. Rozprawa była dość zabawna: obraza rzekomo nastąpiła po wypuszczeniu nas z cel, w pustym zupeł-

nie korytarzu urzędu. Być może, że za jakimiś drzwiami siedzieli podsłuchujący. W rozmowie, krótkiej zresztą, Bolek Hensel powiedział parę dosadnych wyrazów pod adresem „tego idioty, który spowodował aresztowanie nas”. Nikt z nas nie wymówił ani nazwiska ministra, ani nazwy urzędu. Hensel powtórzył sądowi — ku uciesze pełnej sali — co powiedział, myśmy potwierdzili. Sąd przyjął z ukrywanym zadowoleniem, nasze zeznanie, Grabowski bowiem nie był lubiany w sądownictwie i skazał nas na grzywnę po 30 zł!

Wracając do kolegów, z którymi miałem do czynienia w „Domu Prasy”, trudno nie wymienić Kazimierza Pollacka. Był to doświadczony dziennikarz, mający już wówczas ze 30 lat pracy. Napisał zresztą wspomnienia ze swojej dziennikarskiej młodości. Pracował w „Kurierze Czerwonym”. Niektórzy koledzy mieli do niego żal i pretensje: ciął im artykuły, odrzucał materiały jako prowadzący numer, fukał często, krzyczał. W czasie okupacji Kazio odmienił się bardzo. Wszyscy go cenili i szanowali. Aż do śmierci był prezesem Zespołu Starszych Dziennikarzy, jaki stworzyliśmy po r. 1956.

Bardzo miłym, cichym i pracowitym był Antoni Trepieński, znawca literatury, a zwłaszcza Kraszewskiego. Typ szlachetny, prostolinijny. Wysoki, szczupły, o ascetycznym prawie wyglądzie, nigdy nikomu nie dokużył, z nikim się nie kłócił. Cenię do dziś wysoko jego przyjaźń.

Ekspertem od układu graficznego był Witold Wolff. Małomówny, szczupły szatyn usiłował zgłębić sprawę układu od strony teoretycznej i porównawczej. W pewnej chwili udało mi się przekonać Lewandowskiego i Butkiewicza, by przejść w „Dzień dobry” na duży format („Expressu”) i spróbować łamania plakatowego. Pomysł łamania plakatowego był słuszny, ale zmiana formatu — nie. Łamanie plakatowe na dużym formacie jest z pewnością dużo kosztowniejsze ze względu na większą liczbę klisz, różnorodność składu w wielkości czcionki i długości wiersza. Zmianę formatu opierałem na niesprawdzonym przekonaniu, że mały format jest przez poważną część czytelników traktowany gorzej, nieco lekceważąco. To prawda, że długie przyzwyczajenie łączyło duży format z „powagą” gazety, ale ten nawyk jest chyba niezbyt powszechny i raczej powierzchowny. Zwyczajka kosztów pierwszej kolumny nie została pokryta przez zwyczajną nakład. Na szczęście nakład nie spadł, ale też nie podniósł się. Lewandowski po trzech miesiącach zażądał powrotu do dawnego formatu i z pewnością miał rację. W czasie eksperymentowania z nowym układem parokrotnie usiłowałem nawiązać rozmowę z Wolffem. Wolff nie był człowiekiem rozmownym, udało mi się jednak wydusić z niego parę uwag. Były one raczej pozytywne, chociaż nie bez pewnych zastrzeżeń co do poszczególnych numerów.

Zetknąłem się w „Domu Prasy” z Karoliną Beylin, która zaczęła swoją karierę dziennikarską w „Kurierze Polskim” u Łempickiego. Karola pracowała w „Kurierze” i „Expressie”. Pisała różne „michałki”, na podstawie prasy zagranicznej: francuskiej, angielskiej i niemieckiej, znała bowiem te języki; pisywała też — do spółki z pewnym sędzią — powieści odcinkowe jako Kamil Norden. Jak to było przed wojną w naszym dziennikarstwie, pracowała i w innych działach, a bodaj najwięcej miała do czynienia z literaturą i teatrem.

Ciekawą postacią był Antoni Sadzewicz, twórca tzw. „Dwugroszówki”, czyli endeckiej „Gazety Porannej”. Sadzewicz przeszedł do obozu sanacyjnego i w rezultacie wylądował w „Domu Prasy”. Potężny, postawny, siwy mężczyzna; kiedy go poznałem, nie gardził rozkoszami tego świata: lubił zjeść, wypić i lubił kobiety. P. Antoni już z samego ranka szedł pokręcić się, czasem nawet nieźle. Przychodził do szklanego boksu i zasiadał w postawie wyprostowanej. Z daleka nie było widać, że drzemie. Antoni Lewandowski, chodzący po korytarzu, zerkał niechętnie na sztywnego Antoniego Sadzewicza. Po przedrzemaniu się, kolega Sadzewicz brał się do pisania. Nie przypominam sobie, by chybił terminu w napisaniu zamówionego materiału.

Dość podobne usposobienie mieli Tadeusz Garztecki i Stefan Magenheim. Garztecki pracował w „Kurierze”, Magenheim w „Ostatnich Wiadomościach”. Stefan przyjaźnił się przez długi czas z Tadeuszem Garzteckim. Nie umiem ocenić wartości Tadzia jako dziennikarza, nigdy bowiem razem z nim nie pracowałem. Stefan miał mu za złe, że jest więcej urzędnikiem niż dziennikarzem, pracował bodaj w referacie prasowym Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Obydwaj byli niewielkiego wzrostu i obydwoj umieli i mogli wypić. Często wychodziło się z „Domu Prasy” po pracy całą paczką do jakiejś restauracji. Najczęściej, do istniejącej do dziś knajpy „Pod dwójką” naprzeciwko, potem często dalej. Tadeusz zamawiał sobie na przekąskę kawałek sera i do pierwszego kieliszka zjadał połowę otrzymanej porcji, do drugiego następną część i tak dalej — aż do dłubania jakichś mikroskopijnych okruszyn! Ja lubiłem przy wódce dużo zjeść i nie mogłem się nadziwić Tadeuszowi. Nie byłem też zachwycony „metodą” Kapuścińskiego, który przeciągał „strzemienego” do kilku godzin, częstując nas mieszaniną dżinów, koniaków itd. Najczęściej w tych wyprawach brali udział Hensel, Kazio Polack, Tazio Garztecki, Kapuściński. Wplątywali się w nasze towarzystwo koledzy z innych redakcji, bo w każdej zawsze znalazło się trochę bywalców restauracyjnych. Rzecz znamienna, że nigdy nie dochodziło do jakichś gorszących scen pijackich ani nawet do najdrobniejszej awantury. Może ludzie przed wojną mieli i mocniejsze głowy i więcej szacunku dla siebie?

Do postaci, z którymi niewiele miałem do czynienia, ale które widział się od razu, ledwo się weszło na pierwsze piętro, należał Jan Lubicki, piastujący urząd sekretarza generalnego „Domu Prasy” i podpisujący wszystkie trzy dzienniki jako redaktor odpowiedzialny. Był to otyły pan, który wydawał się znacznie starszy, niż był w rzeczywistości. Od samego rana tkwił w pierwszym boksie. Rzadko się z niego ruszał; czasami powolnym krokiem zmierzał do któregoś z boksów z jakimś papierkiem, najczęściej ze sprostowaniem, które przysyłano na jego nazwisko. Był ciężko chory na serce i zmarł 2 maja 1937 r., mając zaledwie 58 lat. Natrafiłem na nekrolog, przeglądając numery „Dzień dobry” i zdziwiony byłem, że zmarł tak młodo. Inaczej oceniałem wiek wówczas, kiedy miałem lat 37 niż teraz, kiedy mam ich 65...

Głośną osobą była Jadwiga Migowa, z którą liczył się wielce ówczesny świat teatralny. W „Dzień dobry” nie pracowała. Pisała w „Kurierze i „Expressie” o teatrze, a ponadto płażyła powieści odcinkowe, w których szukali swoich portretów aktorzy i ludzie kręcący się w światku sceny i estrady. Obawiano się jej, a ona korzystała z tego, otaczając się młodymi i ładnymi aktorkami, te zaś nie odmawiały jej swojego towarzystwa, chociaż zapewne domyślały się, że służą za wabika. Zwłaszcza początkujące aktoreczki zabiegały o jakiś komplement Migowej w piśmie. Często można było zobaczyć Migową w kawiarni, otoczoną wianuszkami pań i panów. Migowa — jak sądzę — nie miała wielkiego talentu, ale za to dużo pewności siebie. W piśmie nie wykraczała poza ramy sztucznego, a błyskotliwego światka. Zdawało jej się, że zna formy życia arystokracji, i tak np. w jednej z powieści jakiejś swojej bohaterce — hrabinie kazała jeść na śniadanie ... melbę, co miało być szczytem wykwintu! Migowa zginęła z rąk hitlerowskich.

Prowadziłem „Dzień dobry” przez parę lat. Był to, jak wspomniałem, format tabloidu (23,5 cm × 32,5 cm), w układzie czterołamowym, skład urozmaicony: borgis, petit, nonparel, często grotesk i kursywa. Pierwsza i ostatnia stronica w dwóch kolorach, a numery świąteczne — nawet trójbarwne.

Na pierwszej kolumnie zawsze umieszczano najciekawsze wiadomości zagraniczne i krajowe. Na drugiej, u góry, króciutki artykuł wstępny w rubryce „Zastanówmy się trochę”. Pisał go często Ordjoels, Wacek Czarniecki czy ja. Dalej szły wiadomości, które przerzucało się również na stronę trzecią. Kolumna czwarta była przeznaczona na wiadomości krajowe, z uwzględnieniem szczególnie takich, które mogły interesować świat pracujący, tam też drukowano felietony Wiecha — Walerego Wątróbki. Na piątej były sprawozdania sądowe. Na szóstej „Codzienne sprawy człowieka pracy”, na siódmej sprawy prowincji i okolic Warszawy, a że to była rozkładówka, na dole zawsze „prof. Nimbus” — otrzy-

mywany z agencji „Opera Mundi”, chyba francuskiej czy duńskiej — zabawne przygody w rysunkach oraz felietony Zołzimira Pypcia (Mirka Borkowskiego). Na ósmej, o ile nie zajmowały jej wyniki ciągnięcia loterii państwowej (opłacane ryczałtem miesięcznym), znajdowały się artykuły na tematy kulturalne i oświatowe. Dziewiątą kolumnę w większości zajmował „Poradnik dla wszystkich” Józefa Gawędy, była tam też „Trybuna Czytelników”, ewentualnie wiadomości sportowe (nie miały one stałego miejsca). Na dziesiątej i jedenastej — nowela, powieści odcinkowe, pamiętniki, opisy (np. Abisynii). Ponadto raz na tydzień ukazywały się dodatki kolumnowe: dodatek kobiecy i „Zabawmy się”. Do tego w niedzielę dochodziły cztery stronicowe rotograwiurkowe ilustracje, w większości aktualnych, oraz barwny dodatek dla dzieci, robiony przez Walentynowicza z wierszami Makuszyńskiego.

Reportaże często pisywał Leopold Marschak. Miał on bogatą przeszłość dziennikarską. Próbował wydawania gazet w spółce. Ale, jak to najczęściej w Polsce, nie można było tego podejmować, nie mając nic lub prawie nic w kieszeni. Imprezy takie, oparte na niedostatecznie przemyślanych założeniach, szybko upadają. Zdaje się, że przed 1930 r. Leopold podejmował jedną próbę, a w r. 1930 czy 1931 — drugą. Był z niego pomysłowy i utalentowany reporter. Pisał łatwo, przystępnie. Po niepowodzeniach na rynku wydawniczym podjął pracę w „Domu Prasy”, pisząc dla wszystkich trzech pism, ale chyba najwięcej dla „Dzień dobry”, gdzie zamieszczaliśmy cieszące się powodzeniem reportaże, wymierzone przeciwko różnego typu wyzyskiwaczom, łącznie z „baronami węglowymi”, jak się nazywało wówczas właścicieli kopalń. Jak się okazało, przemysł węglowy płacił jakiś ryczałt „za milczenie” na jego temat. Nie wiedziałem o tym, póki mi Antoni Lewandowski nie zabronił „wymyślania” przemysłowcom węglowym. Nie używaliśmy już dalej tych epitetów. Wkrótce potem opuściłem „Dom Prasy”.